

Na trzepaku wisiał trup.

W czasach wszechobecnych odkurzaczy, wezyrów i kärche-rów nikt już nie pamięta, do czego służą trzepaki.

Trzepak to konstrukcja pomagająca w zasadniczy sposób w trzepaniu dywanów, była szczególnie popularna przed upowszechnieniem się odkurzaczy. Obecnie dopuszcza się inne zastosowania trzepaka. Rusztowanie bywa huśtawką dla dzieci, altanką dla zakochanej młodzieży bez finansów na kawiarnię lub piwiarnio-winiarnią dla okolicznych żulików. W tym opisie bezwzględnie nie mieszczą się trumna, kaplica ani nawet miejsce zbrodni.

Dlatego też przez cały ranek nikt nie zwrócił na trupa uwagi, nie dopuszczając myśli, że trzepak mógłby tak oburzająco nieodpowiedzialnie zmienić swoje podstawowe zastosowanie. Pech chciał, że feralna konstrukcja znajdowała się akurat na drodze Kudłatej, która jak zwykle pędziła z prędkością światła, próbując bezskutecznie zdążyć na wcześniejszy tramwaj.

Do dziewczyny to przewisko przyczepiło się wcale nie bezpodstawnie – za czasów wczesnolicealnych nosiła bardzo długą, falowaną czuprynę. Fakt, że owa fryzura zniknęła bezpowrotnie w czasie studiów medycznych, zamieniając się w krótko przyciętego i dodatkowo prostowanego pazia, nie wpłynął wcale na zmianę ksywki.

*Będąc młodą lekarką*, Kudłata poczuwała się do udzielania pomocy wszelkim bytom cierpiącym, toteż w jej trzydziestokil-

kumetrowym mieszkaniu po babci rezydowali kulawy pies, dwa wiecznie liniejące koty, stwór będący kiedyś królikiem oraz jej nieustannie nękany bólem istnienia chłopak. Kiedy tylko Kudłatej udało się o poranku ogarnąć wszystkich cierpiących domowników, to zwykle była już spóźniona. Tego dnia spóźnienie urosło dramatycznie z powodu wyjątkowo dobrej zabawy kotów w „kto ukradnie pani rajstopy”.

Zanim zabachutała się we wszystkie bambetle (dla nieznających gwary poznańskiej: ubrała się w wiele ubrań) i wyszła na trzaskający mróz, było już tak późno, że uznała, iż bieg – sypniętą odrobiną soli, ale znacznie dłuższą ścieżką dookoła parku – nie wchodzi w grę. Zebrała się w sobie, napięła drobne łydki schowane w zamiszowych bucikach na obcasach i zaszarżowała prosto przez oblodzony park w kierunku przystanku tramwajowego. Szumne określenie park dotyczyło kilku ławek, oszronionych drzewek i felernego trzepaka.

Kudłata bardzo chciała w ogóle trupa nie zauważyć.

Szansa była spora, bo miała na głowie olbrzymią czapę z nausznikami, na którą naciągnęła jeszcze kaptur. Dodatkowo szczelnie owinęła twarz szalikiem, zostawiając tylko szparę na oczy. Niestety, jej bystry wzrok zlokalizował niecodzienne zjawisko na trzepaku i poczucie misji pani doktor wygrało z niechęcią do trupów i ze świadomością spóźnienia.

Stała przy przewieszonym przez trzepak ciełe i bezskutecznie próbowała nawiązać z nim kontakt słowny i wzrokowy. Przepuszczała, że to któryś z okolicznych żulików w stanie głębokiego zamroczenia potraktował trzepak jak łoże. Fakt, że uczynił to przy minus dwunastu stopniach Celsjusza, tym bardziej skłaniał Kudłatą do ponowienia próby wybudzenia dziada i przetransportowania do ciepłego miejsca. Niestety dziad nie zamierzał współpracować, co okazało się zrozumiałe dopiero wtedy, gdy sprawdziła mu tętno.

Tętna oczywiście nie było.

Kudłata, ogarnięta chęcią wybawienia bezwładnego człowieka z opresji i obeznana z ABC pierwszej pomocy, próbowała delikatnie zdjąć mężczyznę z trzepaka. Nie udało się. Ani zdjąć, ani delikatnie. Dopiero kiedy pod wpływem jej manewrów ciało samo zsunęło się i gruchnęło z łoskotem na zamarzniętą ziemię, zauważyła na środku czoła nieszczęśnika dziurę wlotową po kuli.

## Rozdział 2

---

– No dobra, to może wprosimy się do ciebie? – zapytała Kudłata.

– OK, ale po dwudziestej, bo muszę najpierw położyć szarą – usłyszała w słuchawce.

Tak zakończyła się wyjątkowo krótka konwersacja telefoniczna między Kudłatą a jej najlepszą kumpelą Bazylia.

Bazylią mieszkała na obrzeżach miasta w urokliwym miejscu, w przepięknym domku, z kochającym mężem, trzema precudnymi bobaskami oraz ślicznym pieseczkiem. Taka była prawda. Na szczęście Bazyliowa rodzinka była trochę mniej przesłodzona niż na tym przeuroczym obrazku.

– Wchodźcie, wchodźcie, bo wieje z tych stepów akermanńskich – mówiła Bazylią, pokazując pustą przestrzeń przed domem.

– *Patrzę w niebo, gwiazd szukam, przewodniczek łodzi;/Tam z dala bliższy obłok? tam jutrzeńka wschodzi?* – przypomniała sobie nagle Kudłata.

– Jaka jutrzeńka, to światła fabryki Volkswagena – Bazylią skomentowała romantyczne uniesienie Kudłatej zainspirowane Mickiewiczem.

– Ciocia, coda? – tak witała się z Kudłatą średnia latorośl Bazylii, robiąc przy tym słodką minę kota ze *Shreka*.

– A może tak najpierw „dzień dobry” – skarciła synka Bazylią, łapiąc w locie kurtki Kudłatej i Obolałego, chłopaka, którego przyjaciółka przyciągnęła ze sobą.

Obolały lubił przychodzić do Bazylia, o ile lubieniem można nazwać fakt, że kiedy do niej szedł, zamiast zwyczajowego biadolenia typu: „Ja nigdzie nie idę, będę się tam źle czuł, wszyscy twoi znajomi nie rozumieją fali pustki/morza nienawiści/szerzącej się zarazy bólu istnienia”, wypowiadał tylko trzy słowa: „No, jeśli musimy...”.

Właściwie wszyscy lubili przychodzić do Bazylia.

Po pierwsze karmiła bosko, mimo że jej potrawy nie były wyszukane, bo specjalizowała się w spaghetti w stu odmianach. Z bazylią również, a jakże. Robiła też doskonałe kluski, które podawała z różnymi rodzajami mięs. Wszystko na tłusto i na bogato. Przedziwne, że mimo takiej kuchni jej cztery chłopaki były raczej z gatunku tych chudych, wysokich i wiecznie głodnych. Za to sama Bazylia zachwycała kobiecością – nie była gruba, tylko bardzo apetycznie zaokrąglona dokładnie tam, gdzie trzeba. Na jej puciołowatej twarzy, dużo młodziej wyglądającej niż wynikałoby z metryki, zawsze gościł uśmiech.

Po drugie u Bazylia zawsze było wesoło i zawsze działo się coś fajnego, co podobało się wszystkim niezależnie od wieku. Główna zasługa w tym względzie przypadała męskiej części rodziny i zabawkom, których w domu Bazylia było więcej niż w niejednym Smyku. W zasadzie przeuroczy domek stanowił połączenie hurtowni zabawek z hurtownią modelarską oraz sklepem elektronicznym i AGD.

A i teraz Kudłata z ledwością uniknęła zderzenia czołowego – w dosłownym znaczeniu – z miniaturowym helikopterem patrolującym właśnie obszar korytarza. Za maszyną biegł najstarszy, czteroletni synek Bazylia, wrzeszcząc w niebogłosey: „Ciocia, koptek, koptek!”. W ślad za chłopcem pędził oszalały z radości, tłusty labrador, któremu na zakrętach rozjeżdżały się łapy. Peleton zamykał mąż Bazylia. Szedł zadowolony ze swojego najnowszego wynalazku, w rękę trzymał aparaturę sterującą, a nieco osmarkana pielucha leżała mu na ramieniu.

– I co, zeżarł i odbeknął? – to pytanie Bazylia skierowała do męża. Dotyczyło ono, jak słusznie domyślała się Kudłata, tego, czy najmłodszy, czteromiesięczny potomek wypił odpowiednią ilość swojego mleczka oraz je przyswoił.

– No ba! Cze... Ciaaaaapa, nie skacz!!! – krzyknął, ale było już za późno. Kiedy tylko helikopter roztrzaskał się o ścianę i spadł z hukiem, tłusty labrador skierował swoje zainteresowanie ku nowo przybyłym i właściwym sobie sposobem przywitał ich gorąco. Efektem tego było rozłożenie Obolałego na łopatki i przyparcie Kudłatej do ściennej wnęki. Szczęśliwie Obolały ucierpiał bardziej – szczęśliwie, bo on przecież lubował się w bólu istnienia.

Ceremonia przywitania nowych gości powtarzała się jeszcze dwa razy, kiedy przychodziły pozostałe przyjaciółki Bazylii. Wreszcie wszyscy przybyli zostali usadzeni na wygodnej kanapie, młodsza część domowników po długich negocjacjach spoczęła w łódeczkach, tłusty labrador pochrapywał spokojnie na najwygodniejszym fotelu, a na stole stanęły micha parującego makaronu i cudownie pachnący sos.

Po późnej kolacji przyszedł czas na gruntowne babskie pogaduchy. Obolały na szczęście rozumiał potrzebę kobiet, więc skierował się do kuchni, w której mąż Bazylii z miliona męskich badziewi rozłożonych na olbrzymim kuchennym stole składał swoje nowe elektroniczne чудо.

– No i co z tym trupem? – zapytała Bazylia.

– Z trupem nic, jak trup, to już nie moja działka, tylko patomorfologa – odpowiedziała przytomnie Kudłata.

– No, ale chyba będzie jakieś śledztwo? – drążyła Bazylia.

– A to to tak, już mnie wstępnie przesłuchiwali – odpowiedziała dumnie.

– A ty oczywiście wszystko powiedziałaś jak jakaś naiwna, zamiast uprzednio skontaktować się ze swoim adwokatem w myśl przysługującego ci prawa – odparła lekko obrażonym tonem prawniczka Antonina.

U Antoniny lekko obrażony ton był na porządku dziennym, więc nikt już na niego nie reagował. Było wiadomo, że mimo całej swojej wyniosłości i oziębłej powierzchowności Antonina (bo nikt nie śmiałyby jej nazwać Antosią, a co dopiero Tosią), to chodząca dobroć, tylko głęboko ukryta. Chodząca, a właściwie w obecnej chwili siedząca dobroć manifestowała swój żal, strzeżując wymaginowane psie futro ze swojej nienagannie skrojonej, brzoskwiniowej garsonki. Bazylia zawsze zastanawiała się, jakim cudem ona potrafi zachować te kostiumy nieupaprane. „A może zakładała codziennie nowy?”, snuła rozmyślania.

– Oj, oj, przecież to nie ja byłam oskarżona, zeznałam tylko, jak trupa znalazłam i jak się można ze mną skontaktować. Zresztą rozmowa z inspektorem Boskim-Męskim była zadziwiająco przyjemna – zarumieniła się zniecka Kudłata.

Wszystkie kobiety na świecie, niezależnie od narodowości, kultury, świadomości społecznej, mają naturalnie wbudowany radar emocjonalny. Mężczyzna konsekwentnie i metodycznie wypytałby o dalsze dzieje trupa i szczegóły przesłuchania, nie dopuszczając myśli, że rozmowa bądź co bądź o zwłokach mogłaby być w jakimkolwiek aspekcie przyjemna. Ale kobiety działają inaczej, ożywiły się nagle zainteresowane zgoła ciekawszym tematem.

– I jak wyglądał ten inspektor? Stary? Młody? A chociaż kawę ci postawił? A właściwie gdzie rozmawialiście? A o czymś poza śledztwem? A na kiedy się znów umówiliście? A gdzie mieszka? Sam? A obrączkę miał?

Kudłata zasypana pytaniami zarumieniła się jeszcze bardziej, zerknęła z daleka na Obolałego i prychnęła z niezadowoleniem:

– No wstrętny nie był. A właściwie skąd ja mam to wszystko wiedzieć? Służbowo rozmawialiśmy.

Oho, to była zaszyfrowana kobieca wiadomość: „Nie inwigilujcie, skoro jeszcze nie wiem, co z tego będzie. Mimo że był bosko przystojny i męski, to jest przecież Obolały, który byłby

jeszcze bardziej obolały, jakbym się z jakimś Boskim-Męskim spotykała na boku na jakieś kawy”. Mężczyzna nigdy by nie zrozumiał takiego przesłania podprogowego, ale dla wszystkich dziewczyn był on jasny, więc grzecznie przeszły do znacznie mniej interesującego tematu trupa.

– Trupem okazał się mój sąsiad, tylko że nie z mojego osiedla, to znaczy nie z tego, na którym obecnie mieszkam – opowiadała Kudłata.

– A z którego? – zdziwiła się Bazylia.

– No z mojego poprzedniego, tego, na którym mieszkałam z rodzicami. Normalnie nienormalne, że ktoś mi poprzedniego sąsiada pod obecny blok podrzucił i to jeszcze w stanie nieżywym.

– A może on sam chciał ci jakąś wiadomość przekazać i szedł, szedł aż utknął na tym trzepaku – stwierdziła tajemniczo Bazylia.

– Baza, pomyśl. Z kulą w głowie daleko by nie uszedł, prawda? Kudłata, zacznijmy od początku. Czym się zajmował ten sąsiad i czy miał jakiś wrogów? Albo żonę? – spytała Szabla.

Czwarta przyjaciółka prezentowała umysł analityczny i ścisły, typowy dla mężczyzny. Właściwie Szabla cała była niemal jak facet. Miała męską figurę, zawsze chodziła w spodniach, jako instruktorka jazdy konnej była bardzo umięśniona i wysportowana. Za to z buzi – istny anioł. Wrażenie anielskości niweczyła jednak skutecznie ciętym językiem.

– Miał, miał, aż nadmiar – powiedziała Kudłata w zamyśleniu.

– Czego nadmiar, żon czy wrogów? – zirytowała się Szabla.

– No w sumie i tego, i tego – stwierdziła Kudłata. – Kiedy mieszkałam na tamtym osiedlu, to miał drugą żonę, ale rodzice mówili, że się z nią rozwiódł i miał właśnie sprawić sobie kolejną, znaczy się, trzecią żonę. Sądząc po odgłosach towarzyszących rozstaniom, to obie porzucone żony możemy równie dobrze nazwać wrogami.

– A co ten twój sąsiad taki lowelas? – spytała Bazylia.

– Wiesz, on miał taką przedziwną manierę. Lubił opowiadać o swoich perypetiach i zawsze kreował się w nich na ofiarę jakiegoś wrednego policjanta, niesprawiedliwego dozorca, taksówkarza złodzieja, niedobrej żony. A przy tym był przekonujący, nie można mu było nie wierzyć.

– Ha, ha! No to teraz mu wierzymy, że jest ofiarą – skomentowała z czarnym humorem Antonina.

– No dobra, a skąd ten pieprzony czarujący jedi miał kasę na te wszystkie żony? – chciała wiedzieć jak zawsze analityczna Szabla.

– Biuro podróży miał. Dziura Travel czy jakoś tak ... – odparła Kudłata.

Nagle Bazylia się roześmiała.

– Diuna Travel. Ciotka Miodzia z nim na Maderę jechała. Mówiła, że właściciel ją tak oczarował, że wzięła wszystko najdroższe. *All inclusive*, driny i mariny. A zważając na to, że ciotka niepijąca, mimo sporej tuszy jedząca jak kanarek i cierpiąca na chorobę morską od samego patrzenia na łodzie, to wtopiła niezłą kasę. W dodatku najbardziej zależało jej na piaszczystej plaży, a tej przecież na Maderze nie uświadczysz. Po powrocie z wycieczki zgłosiła się do biura z reklamacją. Facet tak ją urobił, że uznała, iż Madera była cudowna, i nawet wpłaciła zaliczkę na następny wyjazd za rok.

– No to niezłe miał facet możliwości – odparła Szabla w zamysleniu. – Dziewczyny, plan jest taki: ja idę jutro do tego *travel* biura wy badać sprawę, Kudłata inwigiluje nadal inspektora Boskiego-Męskiego, a przy najbliższej okazji pojawia się u rodziców i sprawdza grunt. Antonina bada aspekty prawne całej sprawy i to, czy inspektor może nam jakoś Kudłatą udupić.

– A ja? – zainteresowała się Bazylia.

– Ty gotujesz obiad, a widzimy się w piątek.

\*

Jak to zwykle bywa, kiedy baby precyzyjnie się umawiają, to nigdy im się spotkać o wyznaczonej porze nie uda. W piątek Antonina musiała pracować do późna, Szabla zapomniała o spotkaniu i umówiła się na nierandkę ze swoim niechłopakiem, jak go sama określała. A Kudłatej wypadło powtórne spotkanie z inspektorem Boskim-Męskim.

Inspektor Boski-Męski, czyli Tomasz Milewski, miał swoje wybitnie nieprofesjonalne powody, żeby z Kudłatą spotkać się raz jeszcze. Co tu dużo ukrywać, mimo pierwszego wrażenia, jakie dziewczyna zrobiła na wszystkich funkcjonariuszach przybyłych na miejsce zdarzenia, coś go ciągnęło do następnego spotkania z nią. Jako typowy mężczyzna wcale się nie zastanawiał, co go ciągnie, gdzie, po co i dlaczego, i co z tego może wyniknąć. Ciągnie, znaczy, że należy się pociągowi poddać.

A pierwsze wrażenie, jakie zrobiła Kudłata, na długo zostanie przedmiotem policyjnych żartów. Kiedy funkcjonariusze przyjechali na miejsce zdarzenia, ich oczom ukazał się niezwykle widok. Młoda kobieta usilnie reanimowała człowieka z lodu z dziurą po kuli w głowie. Niepoprawna optymistka zacierała wszelkie ewentualne ślady przestępstwa. Kiedy wreszcie udało jej się wytłumaczyć, że te próby nie mają sensu, usiadła na zlodowaciałej ziemi i, jak to baba, popłakała się, mówiąc: „Jeszcze nie doszłam, a już mi nie wyszło”.

Kudłata oczywiście zastosowała skrót myślowy. Chodziło jej o to, że jeszcze nie dotarła do pracy na izbę przyjęć, a już miała za sobą zdecydowanie nieefektywną (za to efektywną) reanimację. Policjanci oczywiście zrozumieli jej słowa jak chcieli i posyłali sobie znaczące uśmieški, których z kolei nie rozumiała Kudłata.

Inspektor Tomasz, jako osobnik z natury opiekuńczy oraz nieco w kobiecej psychice zorientowany, przetransportował

Kudłatą na komisariat, obficie spoił kawą i dopiero potem zaczął wypytywać o szczegóły fatalnego poranka. Kiedy Kudłata doszła do siebie, całkiem składnie wszystko zeznała i nawet rozpoznała ofiarę. Jej opowieść potwierdziło kilku sąsiadów, którzy również o podobnie wczesnej godzinie pędzili do pracy, tyle że nie mieli jej poczucia misji ani ochoty na dotykanie lodowatego trupa.

No dobrze, inspektor miał ofiarę, miał kilkoro świadków odnalezienia ofiary, miał domniemane narzędzie zbrodni. Czekał tylko na techników, którzy mieli ocenić kulę. Brakowało mu jeszcze mordercy i motywu. Na tym etapie śledztwa Kudłata pozostawała główną podejrzaną, co było inspektorowi na rękę, bo rodziło konieczność kolejnych spotkań z dziewczyną. Oczywiście trzeba było przesłuchać rodzinę, sąsiadów, znajomych denata, ale cóż, wszystko po kolei, jak mówił jego ulubiony Herkules Poirot: „najważniejsze są małe szare komórki”.

Kudłata ubrała się tego dnia niezwykle jak na nią starannie, nawet usunęła kocią sierść z rajstop i otrzepała zamszowe kozaki z pozostałości śnieżno-solnej brei. Inspektor Tomasz Milewski wybrał na spotkanie kawiarnię w pobliżu komisariatu. Teoretycznie powinien prowadzić przesłuchanie w swoim gabinecie, jeśli można tak nazwać prostokąt metr na dwa wydzielony pseudościankami z większej powierzchni paskudnie nazywanej *openspace'em*. Policjant przeklinał w myślach tego, który takie kurniki wymyślił.

Kawiarnia tchnęła trochę klimatem późnego PRL-u, co dla osoby w wieku trzydzieści plus było nawet kojące, bo kojarzyło się z latami dzieciństwa. U Janeczki przeszłość i terażniejszość idealnie się spletały: kawę podawano w filiżance, a herbatę w uszczerbionej szklance umieszczonej w metalowym koszyczku, który rozgrzewał się do takiej temperatury, że można było za niego złapać tylko wtedy, gdy napój już zupełnie wystygł. Na stolikach leżały serwety i stały wazoniki rodem z filmów Barei. Co ciekawe, w wazonikach tkwiły sobie całkiem żywe tulipanki. Personel kawiarni też pochodził z dwóch różnych światów: jedna pani burknęła z obrażoną miną, że „mleka do kawy ni ma”, a inna pobiegnęła do pobliskiej Żabki i chwilę później podała kawę z mlekiem i uśmiechem na deser.

– I co z tymi sąsiadami? – Kudłata prowadziła inwigilację.

Od kiedy pojawili się w kawiarni, inspektor Tomasz zdążył zadać może dwa pytania, bo niecierpliwa Kudłata zarzuciła go

swoimi. Milewski przyjmował to ze spokojem i odpowiadał na tyle, na ile oczywiście uważał za stosowne, umiejętnie omijając szczegóły, o których mówić nie chciał. Lubił przypatrywać się Kudłatej, która emocjonowała się jego odpowiedziami. Obiektywnie rzecz biorąc, dziewczyna była ładna, drobna, może trochę zbyt energiczna. Miała bardzo ciemne oczy i także włosy. „Tylko te włosy mogłaby mieć trochę dłuższe”, myślał inspektor.

– Wydaje się, że poprzedniego dnia sąsiad zachowywał się normalnie. Był w pracy, potem odwiedził lokalny sklepik. Jak co dzień dokonał podstawowych zakupów, podrzucił mleko i pomarańcze starszej sąsiadce i poszedł do domu. Prawdopodobnie. Od przyszłej małżonki niewiele mogliśmy się dowiedzieć, gdyż była akurat nieobecna, po południu wyjechała na kilka dni do rodziców.

– Wyjechała, no fakt, przecież się pokłócili, moi rodzice mówili – odparła Kudłata.

– A mówili może, o co się posprzeczali? Bo narzeczona zeznała, że rozstali się w perfekcyjnej zgodzie – dopytywał Inspektor.

– Nie, tego nie słyszeli, w końcu mieszkają dwa piętra niżej. Za to słyszeli rumor przestawianych albo przewracanych mebli i podniesione głosy, a potem ona wyszła z walizami i wyjechała. Tak koło siedemnastej może było.

– Sąsiedzi zeznali, że układało im się dobrze, prawie wdowa była zrozpaczona i opowiadała o Diunskim, tak nazywała się ofiara, w samych superlatywach. Podobnie zresztą jak i pozostałe wdowy, znaczy, były żony. I sąsiedzi. I administrator osiedla. I nieliczna rodzina. I pracownicy biura. I nawet pani w sklepiku. Wydaje się, jakby ten nasz trup nie miał kompletnie żadnych wrogów, wręcz przeciwnie, wszyscy go uwielbiali.

I wtedy inspektora tknęło, że uwielbiali Diunskiego aż za bardzo...

– No dobra, ale powiedział ci, dlaczego ktoś go kropnął? – Szabla próbowała wyciągnąć z Kudłatej jakiegokolwiek rzetelne informacje.

– Skoro wszyscy go lubili, to po co mieliby go kropać... Kroplic. No, zaciukać – odpowiedziała Kudłata.

Dziewczynom w końcu udało się spotkać, ale oczywiście nie w tym miejscu, nie w tym czasie i nie w tym celu, w którym były umówione. Siedziały właśnie w przymierzalni sklepu H&M ze zrozpaczoną Bazylią, która próbowała wybrać dla siebie sukienkę na chrzest swojego najmłodszego bobasa. Zakupy się przeciągały, ponieważ dziewczyna z uporem maniaka próbowała się wciśnąć w rozmiar 38, z którego wyrosła jeszcze w czasach liceum. Z kolei Antonina z uporem maniaka próbowała jej ten fakt delikatnie wytłumaczyć. Uświadamianie nie przynosiło skutku, bo Bazylia nadal upychała swe rubensowskie kształty w kolejne za ciasne kiecki.

– Oj, no ty to naiwna jesteś – powiedział Szabla z przekąsem. – Myślisz, że teraz nie ściemniają? Jakbyś kogoś zaciukała, to co, potem byś mówiła, że miałaś motyw, bo był dla ciebie niedobry?

– Czy ja wiem? – odparła bez przekonania Kudłata. – Ja zwykle próbuję ludzi ratować, a nie krzywdzić...

– E, no i dlatego nie masz dystansu do tej sprawy – rozgniewała się Szabla.

– Okropna ta kiecka, Bazylia, weź inną – oceniła Kudłata. – A byłaś w tym biurze podróży, Szabla?

– A byłam. I, rany, ale mi się wakacji zachciało...

– Przecież ty w czasie wakacji masz najwięcej pracy – powiedziała praktyczna Antonina.

– Ale mi się wyjazdowych wakacji zachciało, nie terminowych. Są takie kraje, w których nie musisz łązić zabachutana w tysiąc warstw, nie spędzasz codziennie dwóch godzin na odśnieżaniu i próbie zastartowania zamrożonego auta. Tam kobiety wrzucają na siebie lekką sukieneczkę i idą w pięknym słońcu do pracy... – rozmarzyła się Szabla.

– O matko! – wysapała spocona Bazylia. – Chyba będę musiała kupić też elegancki płaszcz.

– Na razie nie widać postępu z kiecką – jak zwykle ciętym językiem skomentowała Szabla.

– Bo ta ma zły krój, kto to wymyślił, żeby takie coś na kobietę zakładać. Nie martw się, Bazylia, weź tamtą różową – przekonywała Antonina, po czym zwróciła się do Szabli: – I co, wywąchałaś coś?

– O tak, już prawie czułam zapach wiśni w malowniczej Japonii, strelcji na Maderze i stefanotisu na Madagaskarze... Baby, a może się gdzieś wybierzemy, co? Zobaczycie, będzie cudnie, ja wszystko zaplanuję, wybierzemy jakieś ciepłe miejsce, poza sezonem, wygrzejemy się jak nigdy, teraz ceny są całkiem przystępne – rozmarzyła się Szabla.

– No jasne, ja mam aż nadto pracy. Jeżeli się nudzisz, to ci podrzucę coś do roboty – burknęła Antonina.

– Ja mam dyżury ułożone na trzy miesiące z góry i chyba by mnie zabili, gdybym chciała pozamieniać coś w grafiku. I tak przez tę aferę z trupem musiałam nieźle pokombinować, żeby posprzedawać kilka dyżurów w tym miesiącu – odparła Kudłata.

– A ja mam chrzest i chyba pójde na niego na golasa przy minus pięciu – jęknęła płacząco Bazylia.

– O matko! Baza! – zirytowała się Szabla. – Twój rozmiar to 42. Weź to czarne, to cię wyszczupli, a od jutra zaplanuj sobie, kiedy przychodzisz do mnie na treningi, to może latem wbijesz się w 38, ale powiem ci szczerze, że akurat twoje krągłości są bardzo na miejscu i nic bym w nich nie zmieniała. To samo zresztą zawsze powtarza twój własny małżonek. A wy, dziewczyny, z tą robotą to nie przesadzajcie. Robota to nie życie, to coś, co się robi, żeby żyć. Znacie kogoś, kto na łóżu śmierci żałował, że więcej nie pracował? – zapytała Szabla. – No, a ja już wam wakacje zaplanuję.

I w ten oto sposób przyjaciółki nie ruszyły do przodu sprawy śledztwa, ale za to załatwiły dużo innych, równie ważnych spraw.